

Szczyście Doirel'a,

Światła reflektorów podłużnymi smugami stały się po wilgotnym asfalcie chodników. Naczelnym inspektor Doirel, nawskąd przepięty drobny, od samego rana padającym deszczykiem, pośpieszał kroku:

— Psi czas! — mrucał pod nosem.

Dla zgola niepotrzebnej inspekcji strawił całe popołudnie na dworze, to też smagany zawieruchą, dygocąc z zimna, kłął na czym świat stoi.

— Wszystko się na mnie dziś sprzyśięgło! Jakiś feralny dzień, do licha!

Nagle, w chwili, kiedy dochodził do skrzyżowania ulic, krótki płomień błysnął mu przed oczyma i odgłos strzału obił się o uszy. W infinitezymalnym okamgnieniu przed wystrzałem Doirel dostrzegł przytuloną do muru sylwetkę i instynktownym ruchem skoczył w bok. Poczem miotany wściekłym gniwem rzucił się w pogoni za znikającym w ciemnościach cieniem.

— Nie! — mówił do siebie, biegnąc, głosem drżącym ze złości. — Za wiele już tym razem! Dość tego!

Był to trzeci zamach, którego uniknął, w ciągu dziesięciu dni i pędząc co sił w nogach, przysięgał sobie, że ostatni. Już miał dopaść zbiega, gdy ten znikł nagle na rogu jednej z ulic.

Doirel przystanął, nasłuchując. Martwa cisza zapanowała wokoło.

— Zaryłeś się w jakiś kąt zuchwalcze, — wycedził przez zęby półgłosem — i czekasz na mnie. Zobaczmy! Zapomniałeś, chłystku, że jesteś w mojej dzielnicy. Znam tutaj każdy zakątek. Jest tu jeden dom o dwóch wyjściach, który mi się dziś bardzo przyda!

Rozejrzał się szybko i cofnął wtył: przed pewnym domem przystanął. Na jego dzwonek drzwi się otwarły natychmiast. Długi korytarz, skręcając nagle pod ostrym kątem, doprowadził go do ulicy, w której złoczyńca nań czatował. Stąpając na palcach Doirel zrobił kilka kroków i zobaczył cień na murze. Szyderski uśmiech zjawił się na twarzy inspektora. W ciągu trzech sekund mężczyzna, zwrócony plecami do ulicy został obalony, rozbrojony i unieruchomiony potężną pięścią Doirela, który dygocąc z wściekłości, powłócił swego więźnia kilka metrów ku światłu i przyjrzał się chciwie wylęknionemu, białemu jak płótno jego obliczu w bładym blasku reflektorów.

— Nie znam cię — mruknął — ale przysięgam ci, że będziesz gadał!

Podniósłszy brutalnie szarpnięciem drżącego złoczyńcę, zaprowadził go do komisariatu.

W kwadrans później Doirel, sam wyszedł na ulicę, mocno zaniepokojony. Złoczyńca przemówił. Pod krzyżowym ogniem pytań zeznał, że działał za namową

niejakiego Emila Roudier, zbiegłego galeriika.

Spiesząc do domu Doirel rozmyślał:

— Roudier nie może mi darować swego pierwszego aresztowania. Musiał się dowiedzieć, że jestem znów na jego tropie i czuwa. Przechylnie nakazuje mi zatem również czuwać!

W dwa dni potem inspektor Doirel wsiadł do pociągu. Dla pewnej ankiety miał się udać do jednego z głównych przedmieść. Roztargnionym wzrokiem obrzucił dwie osoby, siedzące w przedziale i zatonął w swych myślach. W chwili, kiedy pociąg ruszał, drzwiczki otworzyły się i jakiś podróżny zajął miejsce naprzeciwko Doirela.

Inspektor, spojrzawszy przelotnie na spóźnionego, drgnął. Wzrok nieznanego, wzrok palący, przenikliwy tkwił w jego oczach. Dziwne przygnębienie ogarnęło Doirela niezwłocznie. Nie będąc w stanie uciec przed utkwionymi weń nieruchomo metalicznymi oczami inspektora myślał:

— Znam tę twarz.... I to spojrzenie. To spojrzenie... Ach..

Nagle podskoczył. Broda, okalająca twarz podróżnego, była przyprawiona; kiedy Doirel siłą wyobraźni odjął sztuczne owłosienie poznał twarde i groźne rysy Emila Roudiera.

Inspektor zdecydował się na skok stanowczy. Lecz mózg jego tylko nakazał mu ten krok, mięśnie były bezwładne. Dziwną mocą zniewolone ciało zniechęmiało i Doirel przeistoczył się w kawał bezdusznego mięsa, kołyszącego się na prawo i lewo za każdym stuknięciem wagonu.

Przez pewien czas dręczyła go jeszcze wizja dwojga błyszczących oczu, które niczem świdy, zdawały się przenikać, aż do zbolalego mózgu, poczem niezwalczona senność opanowała go i ocleżałe jego powieki zamknęły się, jakby pod naciskiem despotycznego palca.

Raptowny wstrząs obudził Doirela. Pociąg stanął przed chwilą. Oszupiały i strwożony inspektor spojrzał wokoło siebie błędnym wzrokiem. Tajemniczy podróżny znikł. Rozległy się kroki na peronie: jakiś głos wymienił nazwę stacji.

Doirel wyskoczył z przedziału, orientując się, że stanął u celu swej podróży.

W ciągu całego dnia Doirel czuł się niedobrze. Machinalnie badał i rozpatrywał sprawę powierzoną jego bystrej przenikliwości; — jakieś morderstwo, dokonane w wagonie — ale umysłem był gdzieindziej.

Zły i niespokojny, rozmyślał:

— Uległem magnetycznemu wpływowi. Niema żadnej wątpliwości co do tego. Ale dlaczego oszczędzono mnie, kiedy byłem bezwładną bryłą? Dlaczego? Z powodu obecności dwóch innych podróżnych? Tak, to możliwe... Kiedy jednak wróciłem do przytomności, byłem sam! A zatem...?

O zmierzchu Doirel w poszukiwaniu pe-

wnej poszlaki wrócił do wagonu, w którym popełniono morderstwo, a który stał o dwieście metrów od stacji. Wtem czerwony punkt zabłysnął wśród nocy. Rozległ się turkot zbliżającego się ekspresu. Doirel chciał usunąć się z szyn, lecz nagle członki odmówiły mu posłuszeństwa. Zmęczone myśli kłębiły się w zmartwiałym mózgu. Nazwisko: Roudier, Roudier, — dzwoniło mu w uszach. Doirel przykuty do ziemi, zwrócony był twarzą do pędzącego pociągu. Ostatnim wysiłkiem spróbował uciec, zamknął oczy, aby nie widzieć śmierci.

Nagle skoczył w bok i upadł na asfalt. Pociąg go musnął. Doirel wstał, chwając się na nogach. Straszna siła, która go przykuwała do miejsca, opuściła go. Wiatr osuszał zimny pot, spływający mu z czoła. Zataczając się poszedł ku bielejącemu w świetle lamp elektrycznych dworcowi.

Nazajutrz Doirel dowiedział się, że w jednym z hoteli miejskich popełniono morderstwo. W numerze zastał trupa Emila Roudiera. Zegarek zabitego stał na godzinie 7 m. 10. Ekspres, który o mały włos nie zmiażdżył inspektora, miał stację o tej właśnie godzinie.

Wkrótce potem przyłapano mordercę: był nim dawny wspólnik Roudiera, który się na nim zemścił dla jakiegoś nieznanego powodu.

Przez cały miesiąc rozprawy sądowej karygodna myśl prześladowała Doirela: całą duszą pragnął uniewinnienia zabójcy, który mimo woli ocalił mu życie.

Tłum. Jotsaw.



Szkoła Rytmiki, Plastyki i Tańca Artystycznego H. Krukowskiej i L. Boruńskiej w Łodzi przy ul. Wołczańskiej 57. Powyżej technika akrobatyczna.



Rok V.

Niedziela, 7 października 1928 r.

Nr 41.

Dziś a sto lat temu...



Wspaniałe pomniki postępu, będące owocem pracy kilkunastowiecznej wielkich miast, szara i posępna Łódź zdobyła w okresie niespełna jednego wieku. Tem większą stanowią one chlubę miasta, będąc dowodem szybkiego rozwoju i awrotnego tempa pracy jego mieszkańców.

Jednym z takich pomników rozwoju Łodzi jest instytucja Straży Ogniowej Ochotniczej. Jak ołbrzymią jest różnica między jej stanem obecnym a stanem z przed 53 laty, niechaj świadczy nasza rycina, wyobrażająca tę samą straż w jej zaraniu, zilustrowaną w barwnym korowodzie, urządzonym w Łodzi z okazji Tygodnia Strażackiego w dniu 30 ubiegłego miesiąca.

Prof. A. Meyer.

Plany i zamiary. — Ze Lwowa. — Szkoła dramaturgii. — Nowości zagraniczne.

U progu sezonu, rozpoczętego już we wszystkich polskich teatrach, wypada zanotować szereg planów i projektów, powziętych w związku z nową kampanią artystyczną. Parę słów przedewszystkiem o niezmiernie ważnej dla polskości placówce teatralnej w Katowicach, która, dzięki wydatnemu poparciu miejscowego T-wa Teatralnego żyje i rozwija się bardzo pomyślnie. Teatr katowicki na najbliższe trzecie objął dotychczasowy jego kierownik, p. Marjan Sobański, mając do pomocy pp. W. Nowakowskiego (w dziale dramatu) i M. Zunę (w dziale opery). Projektowane jest wystawienie w bieżącym sezonie następujących dzieł z zakresu dramatu i opery: — „Dziady” — Mickiewicza, „Lilla Weneda” — Słowackiego, „Sędziowie” — Wyspiańskiego, „Lilje” — Morstina, „Cyd” — Corneilla, „Wyspiańskiego, „Złote więzy” — Rydla, „Gęsi i gąski” — Bałuckiego, „Wilki w nocy” — Rittnera, „Juljusz Cezar” — Szekspira, „Marja Stuart” — Schillera, „Orlątko” — Rostanda itd.; z oper: „Zygmunt August” — Joteyki; „Goplana” — Żeleńskiego, „Dalibor” — Smetany, „Borys Godunow” — Mussorgskiego, „Blanchefleur” — Kienzla; z operetek: „Noc w Wenecji” — Straussa i „Lalka” — Audrana. Na otwarcie sezonu wystawiono z dużym sukcesem operę „Zygmunt August” i w dziale dramatu „Cyd”.

Bardzo poważną ulgę w artystycznej pracy teatru stanowiąc będzie m. in. zastąpienie nowoczesnego elektrycznego oświetlenia sceny oraz zmontowanie stałego horyzontu na scenie, którym do tej pory teatr katowicki nie dysponował.

Z inicjatywy województwa wołyńskiego sześć największych miast Wołynia postanowiły stworzyć stały objazdowy teatr polski, który będzie zaspakajał potrzeby artystyczne Łucka, Równa, Dubna, Krzemieńca, Kowla i Włodzimierza. Był materialny teatr oparty będzie na subwencji rządowej, prócz



Straż Ogniowa Ochotnicza w Łodzi w zaraniu swego rozwoju. Powyżej członkowie ówczesnej straży ogniowej w charakterystycznych strojach z bosakami bez toporów, obok zaś stoją dwaj alarmiści. Fot. A. Meyer.

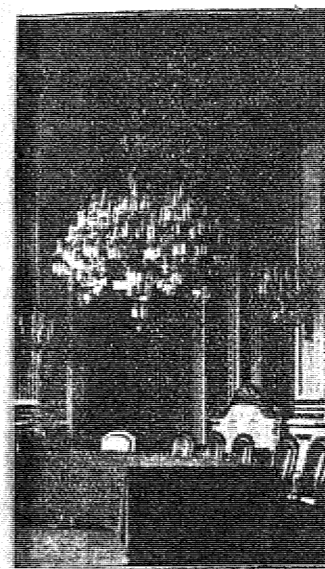
tego zainteresowane miasta udziela zasilków z funduszów municypalnych. Na dyrektora teatru objazdowego, rozpoczynającego wkrótce swą działalność, powołano p. Jzarnawskiego ze Lwowa.

Niezależnie od wspomnianej wyżej imprezy, na Wołyniu rozwija obecnie swą działalność teatralną zespół wileńskiej „Reduty”, spotykając się we wszystkich miastach i miasteczkach z entuzjastycznym wprost przyjęciem. „Reduta” wystawia „Sulkowskiego”, najbardziej bodaj porównywalną z dramatycznych dzieł autora „Popiołów”. W „Sulkowskim” świetne pole do popisu znajdują dla siebie czołowe siły zespołu „Reduty” w osobach pp. Mieleckiej (Księżniczka Gonzaga), Chmielewskiej, Białkowskiej, Wołłejko. Szczęśliwy Wołyń! —

nie może chyba w tym roku narzekać na brak rozrywek i wzruszeń teatralnych. Nie można wątpić, że ta artystyczna siejba wyda plon stokrotny.

Nie chce być gorszym od miast Wołynia i wojewódzki Nowogródek, gdzie w końcu ub. m. odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie gmachu teatru miejskiego. Teatr miejski w — Nowogródku! — to doprawdy zjawisko radosne i krzepiące. Działalność tego teatru zapoczątkowana została wystawieniem „Sulkowskiego” w interpretacji niezmordowanej „Reduty”.

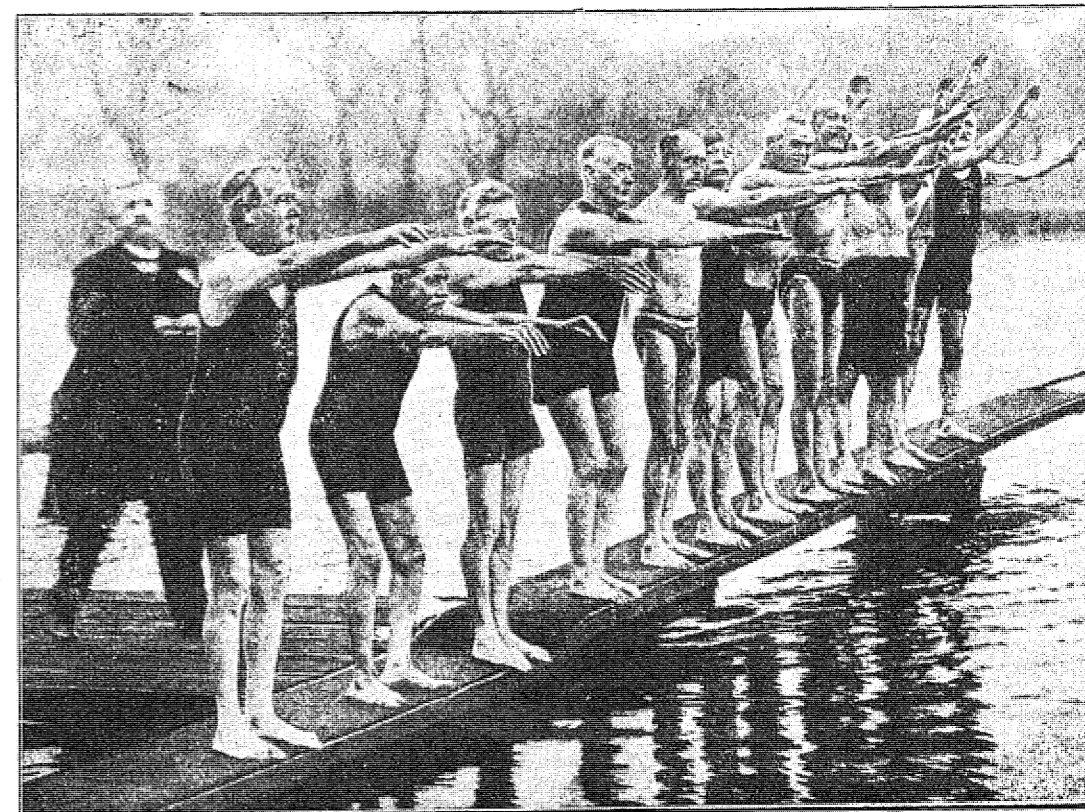
Kampania artystyczna teatrów lwowskich rozpoczęła się już na całym froncie. Po wznowieniu „Wesela” w doskonałej reżyserji Siemaszkowej oraz wesołej komedji Langera „Łatwiej przejść wielbłądo-



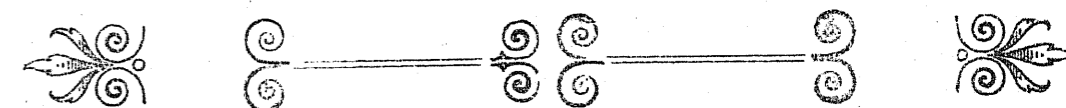
ażająca Republikę Francuską, gdzie podpisano pakt.



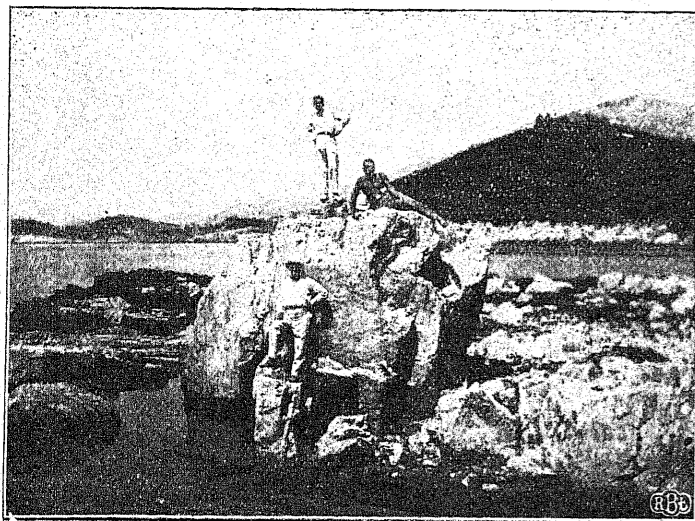
tego ciała na fotografii. Studium lietylko strój tworzy kobiecie”.



Propaganda sportu pływackiego w Anglii. Powyżej start pływaków „weteranów” w Londynie, zorganizowany w celu pobudzenia zamilowania do pływactwa wśród młodzieży.



Zespół choralny Polskiego Radja w Warszawie. Powyżej próby z Wesela Boryny według Reymonta.



Artyści Teatru Miejskiego w Łodzi na letnich wywczasach w Jugosławji. Na zdjęciach od strony lewej wycieczka na tle górzystego krajobrazu Raguzy, na prawo p. Jarkowska oraz b. artysta sceny katowickiej p. Imiela-Wojcieszko, w niebezpiecznej pozie lamparta.



Leatrice Joy w swej wspaniałej kreacji w filmie „Pieszczotka”.

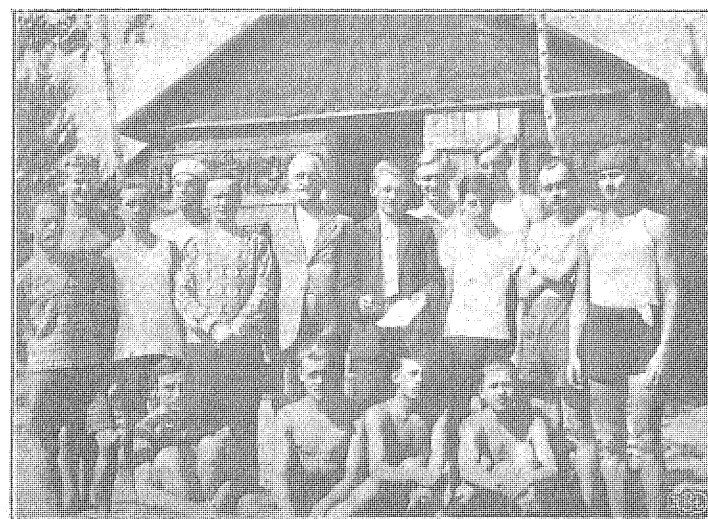


Sala zegarowa z kominkiem i postacią, wyobrażenie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie.



Sceny z nowego filmu produkcji krajowej p. n. „Pan Tadeusz” A. Mickiewicza. Na lewo: Zosia i dzieci, na prawo: Sędzia z Zosią.

Piękno kobiecy



Rok rocznie, skoro uśmiechnie się lato ożywcem blaskiem słońca, pokryją pola i lasy bujną roślinnością, budzi się do życia młodzieńczym rozgwarem obóz letni Polskiej Y.M.C.A., rozbitny w pięknym położeniu nad rzeką Lindą. Powyżej od strony lewej widzimy uczestników obozu tegorocznego z kierownictwem na czele na tle jednej z chat, na prawo zaś młodzież przy pracy.



Chwile wolne od zajęć obozowicze poświęcają miłym i szlachetnym rozrywkom, a więc, jak widzimy na zdjęciu: muzyce, grze i zabawom wspólnym oraz ćwiczeniom gimnastycznym i sportowi.



W dni słoneczne i pogodne młodzi spartańscy odbywają zbiorowe wycieczki do pobliskich lasów, zażywając kąpiele rzecznych i słonecznych. Na lewo zasłużony wypoczynek na gorących piaskach, na prawo zaś rozkoszna kąpiel w wodach rzeki Lindy.



Najlepsi pływacy polscy, Kuncewicz i Trattowa, którzy odnieśli w dniu 10 b. m. wspaniałe wyniki, zdobywając szereg rekordów pływackich.



Wspaniały moment z zawodów hippicznych.



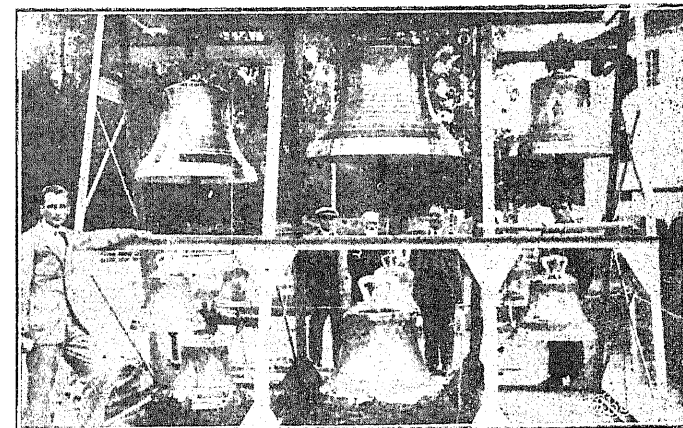
Nurmi, rekordzista świata.



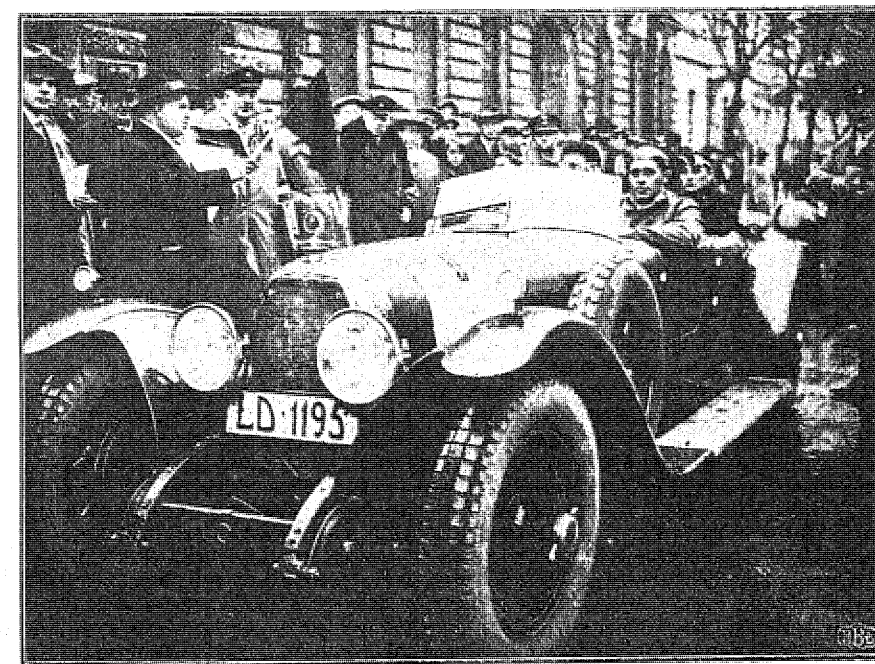
Sport robotniczy. U góry zwycięzcy zawodów kolarskich. U dołu: zwycięzcy zawodów bokserkich. W środku moment zawodów lekkoatletycznych.



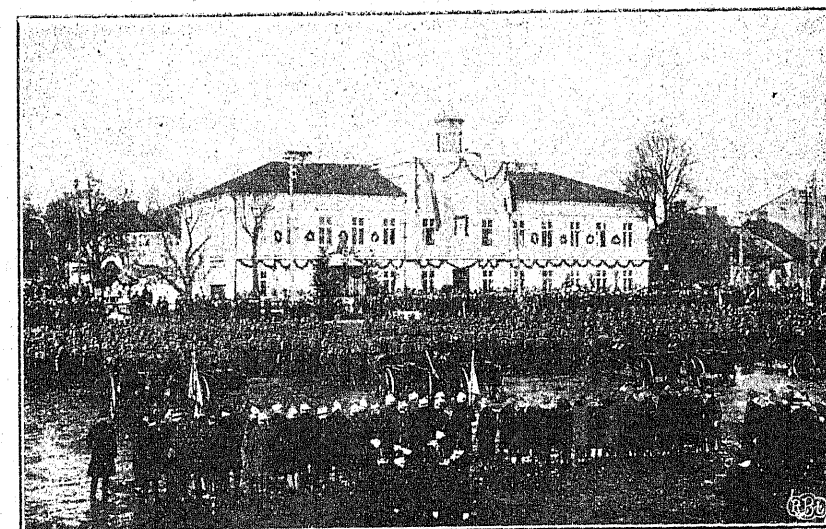
Szkoła Gospodarstwa Rolnego w Czarnocinie. Na zdjęciu nauka karmienia bydła młodego.



Fragment z targów i regionalnej wystawy przemysłowej w Wilnie. Stoisko dzwonów.



W dniu 30 ub. mies. odbył się w Łodzi raid automobilowy. Powyżej odjazd ze startu. Fot. Meyer.



Uroczystość wręczenia chorągwi pułkowej 31 pułkowi Strzelców Kaniwskich w Zgierzu, ofiarowanej przez mieszkańców powiatu łódzkiego.

wi", święto inauguracji wypełniono przedstawieniem „Irydiona” — Krasiańskiego, o którym to widowisku miejscowa krytyka wyraża się w sposób bardzo pochlebny, podnosząc z uznaniem ogromny wysiłek teatru w dziale reżyserskim, aktorskim i dekoracyjnym. Teatr Mały ma sympatycznego wielce gościa z Warszawy — p. Fertnera, który nie szczędzi lwowianom humoru i wesołości w „Zmartwieńiach pana Hamelbeina”. Gościa niezwyklej miary artystycznej miała również opera lwowska w osobie znakomitej śpiewaczki, koloraturowej sopranistki, p. Ady Sari, która wystąpiła w otoczeniu miejscowego zespołu w „Cyrulniku Sewilskim”, „Traviacie” i „Lakmé”.

Znany pisarz i krytyk, p. Wacław Grubiński, poświęcił w jednym z czasopism stołecznych garść interesujących uwag „szkole dramatopisarstwa”, istniejącej przy amerykańskim uniwersytecie Harvarda, a założonej ok. dwudziestu lat temu przez prof. Bakera. Czcigodny ten profesor, wychodząc z założenia, że napisanie dobrej sztuki teatralnej jest umiejętnością, dająca się nabyć w podobny sposób, jak umiejętność budowy mostów lub konserwowania mięsa, założył był swoje interesujące studjum w celu produkowania, masowego i — niedrogiego. „zdolnych dramaturgów”. Rzecz prosta, że tego rodzaju szkoła mogła powstać jedynie w Ameryce i dla Amerykanów, których mentalność posiada przemożną tendencję do mechanizowania i standaryzowania wszystkich przejawów życia, nawet w dziedzinach kultury i sztuki. Oczywiście, trzeba się zgodzić z p. Grubińskim, że przesłuchanie kursu na poważnym poziomie utrzymanych wykładów w „szkole dramatopisarstwa” nikomu szkody nie przyniesie, przeciwnie, rozświetli wiele problemów, związanych z teatrem i twórczością sceniczną, pouczy o wielu kwestiach, mających znaczenie i walor w pracy dramatopisarskiej. Ale czy szkoła ta zdoła produkować „patentowane” genjuszy, czy choćby „patentowane” talenty pisarskie, o tem wątpić należy, jako że są w naturze ludzkiej pewne zdolności i możliwości, których żadna szkoła stworzyć, ani nauczyć nie zdoła. Zresztą i ze szkoły prof. Bakera może wyjść świętny pisarz teatralny, pod warunkiem jednak, że i — bez tej szkoły byłby samym sobą, t. j. świe-

nym pisarzem teatralnym. Dodamy wkońcu, że podobno p.p. Dunning i Abbot, autorzy głośnego „Broadwayu” są absolwentami harwardzkiej „szkoły dramaturgów”. Z

drugiej strony jednak — Szekspir ani Moliere szkoły tej nie kończyli, a są przecież niemierniej znani od p.p. Dunninga i Abbota. Delta.

Wystrzał.

Wsparta na balkonie o poręcz z kutego żelaza Odetta de Ryvor wpatrywała się w park strwożonymi oczami.

Odetta de Ryvor drgnęła i pobladła jej twarz pokryła się wyrazem bolesnego przerażenia. Z głębi parku doszedł ją niebawem niewyraźny hałas. Wylękała, przyciskając mocno bijące serce, przysłuchiwała się zbliżającym krokom. Minęło kilka nieskończone długich chwil. Wtem z jednej z alej wyłoniła się grupa osób, skapanych w biało-perłowej poświacie księżycowej. Na czele ich, z bronią w ręku, szedł Paweł de Ryvor. Za nim dwaj ludzie nieśli bezwładne ciało, którego zwisające ręce sunęły po ziemi.

Obiema rękami zdławivszy okrzyk zgrozy w krtani, Odetta szepnęła drżącym głosem:

— Jasiak...! Jasiak...!

Rzuciła się wnet ku drzwiom, po chwili namysłu jednak, stanęła wyczekująco, dygocząc jak w febrze.

— Proszę cię. Ten wystrzał zatem?...

koju.

— Jaktó — zdziwił się — wstałaś, kochanie?

— Tak. Na odgłos jakiegoś strzału zerwałam się na równe nogi ze snu. Co się stało?

Hrabia przysunął sobie fotel.

— Pozwolisz?

— Ależ naturalnie. Więc? Co to było?

Hrabia Paweł de Ryvor obojętnie, z zimną krwią wydobywszy papierosnicę, wyjął z niej papieros.

— Czy można?

— Proszę cię. Ten wystrzał zatem?...

Hrabia ruchem ręki usunął kłęb dymu, odpowiadając niedbale:

— Ach, to nic! Mniej, niż nic!

— Któż jednak strzelał?

— Ja.

— Do kogo? POCO?

— Do kogo? Do pewnego młodego człowieka; bardzo elegancko ubranego, zresztą. POCO? Ponieważ ów młody człowiek wspinał się konno na ogrodzenie. Ach! co to była za świetna tarcza strzelnicza! W ciągu kilku sekund sylwetka jego rysowała się wyraźnymi liniami w przezroczy powietrznej. Nie mogłem się, słowo daję, powstrzymać i... strzeliłem...!

— Ach! Zabiłeś go?

— Nie, kochanie, nie! Chciałem go zranić tylko, ażeby się dowiedzieć, co skłoniło tego dystyngowanego dżentelmana do wkradania się podstępnie, nocą, do mego dominium?.. Ale nie mówmy już więcej o tem, dobrze, kochanie? Nic to wszakże poważnego!

— Owszem, owszem! Chcę wiedzieć, kim był ten młody człowiek?

— Historia ta przykuwa twoją uwagę, jak widzę. Ale nie poszczęściło mi się, wyobraź sobie; gdyż, mimo nalegania z mej

strony, nic nie chciał powiedzieć. Jakiś bandyta pewnie i to bandyta niepowszedni w dodatku; znaleźliśmy w jego portfelu bilet wizytowe na imię Jana de Barlieu.

— Jan de Barlieu...!

— Tak. Znasz to nazwisko?

— Nie! Nie! Bynajmniej! Ach!... Co to takiego?

Rozdzierający krzyk rozległ się w tej chwili. Błada, jak płótno, Odetta wpatrywała się rozszerzonymi źrenicami w twarz męża.

Paweł de Ryvor wstawszy powoli, rzucił papieros za okno i odparł obojętnym głosem:

— To mój gość nocny, którego moi dwaj strzelcy indagują niezbyt łagodnie, jak się zdaje.

Dруга żałosna skarga obila się o ściany i zamarla w pokoju.

— To straszne... — wyjąkała Odetta. — Jakiem prawem? Biegnij, biegnij czempredzej i każ zaprzestać tym niegodziwcom...!

— Dlaczego? Oni działają z mego rozkazu — rzucił Paweł de Ryvor twardym głosem. — Co cię to obchodzi zresztą?

— Ależ ten nieszczęśliwy człowiek nie zasłużył na tego rodzaju obojętności. Jest ranny, pomyśl nad tem. Zamknij go i oddaj jutro w ręce policji: tu się twoje prawo kończy!

— Co za okrucieństwo! Nie zrobisz tego! Ja nie chcę!

— Uspokój się, moja droga, proszę cię i nie mówmy już o tem. Co postanowiłem, wykonane być musi. A ty, potrzebujesz pewnie spoczynku. Zostawiam cię. Dobranoc, kochanie!

Odetta de Ryvor opadła bezsilnie na fotel. Ręce jej drżały konwulsyjnie; przed jej nawpół obłąkanym wzrokiem majaczyła wizja okrutnego i wykrzywionego ironicznie oblicza męża. Zgasła światło. Nagle oczy jej steżały w bezruchu: promień księ-

zyca, który przez okno wpadał do pokoju, oświetlił metalowy przedmiot, wiszący na ścianie. Odetta de Ryvor wstała, zdjęła sztylet z gwoźdźca, nie mogąc oczu oderwać od szerokiej i błyszczącej klingi. Jak automat otworzyła drzwi i wyszła.

Przez ciemne korytarze zamku dotarła do sypialni swego męża, nacisnęła lekko klamkę i znalazła się w ciemnym pokoju. Świeca w lichtarzu, skwiercząc, dogasała. Kierowana regularnym odgłosem oddechu, stając się cicho, stanęła w głowach łóżka. Niezręcznym ruchem trąciła obok stojące krzesło. Usłyszawszy nagłe poruszenie, jak szalona wbiła ze wszystkich sił sztylet w postać, leżącą na łóżku. Rozległ się krótki okropny jęk, po którym nastąpiła śmiertelna cisza.

Wtem okrzyk przerażenia wydarł się z piersi Odetty: jedna za drugą rozblęły lampki kandelabru i wykrzywiona szyderstwem twarz Pawła de Ryvor ukazała się oczom Odetty.

Rzuciwszy spojrzenie na łóżko, zaśmiał się potwornym śmiechem.

— Dobroć jest zawsze nagrodzona... Ten biedny, ranny chłopiec wzbudził współczucie we mnie, kazałem więc przynieść go z ciemnicy tutaj. Oddałem mu swoje łóżko i spałem sobie najspokojniej w świecie w tym oto fotelu, kiedyś ty przyszła złożyć mi wizytę.

Odetta, zdrtwiała i oniemiała z trwogi, spojrzawszy na łóżko, krzyknęła przeraźliwie. Na złanej purpurową krwią piersi leżącej postaci, rękojeść sztyletu znaczyła się plamą ciemną.

Nieprzytomna z bólu młoda kobieta rzuciła się na zwłoki swego kochanka i rozdzierające jej jęki, obiwszy się o ściany pokoju, poszły echem po uśpionym parku:

— Jašku...! Jašku...! Jašku...!

Tłum Jotsaw

(:o:)



Tablica ku czci gen. Sowińskiego, która została w dniu 6 b. m. wmurowana w ścianę kościołka na Woli (w Warszawie) staraniem Legji Inwalidów wojsk polskich.

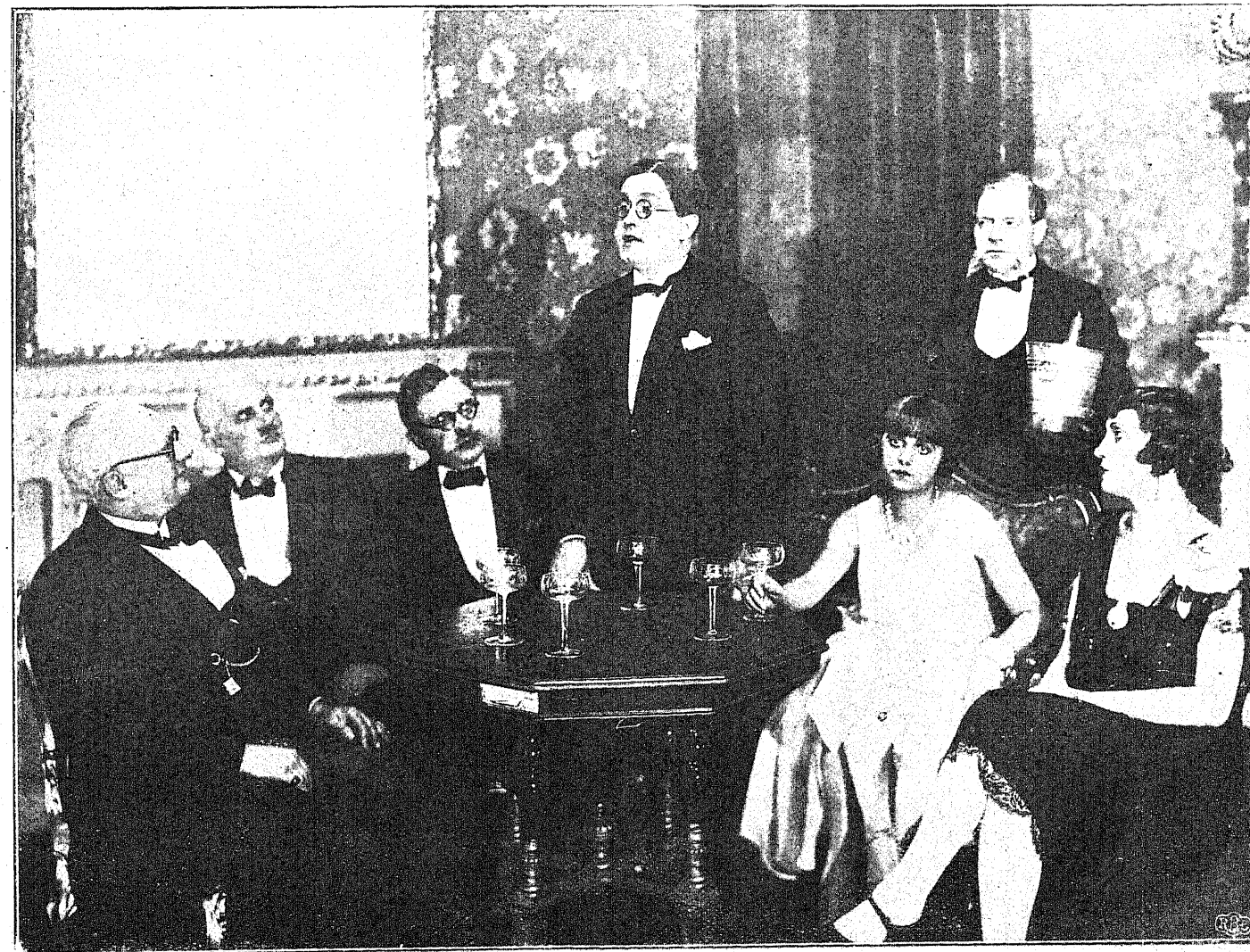


Rok V.

Niedziela, 14 października 1928 r.

Nr. 24.

„Pieniądz leży na ulicy” na scenie Teatru Miejskiego.



W dniu 29 ub. m. dyrekcja Teatru Miejskiego w Łodzi wystawiła zabawną komedię wiedeńską p. n. „Pieniądz leży na ulicy” — R. Oesterreichera i R. Beunauera. Powyżej fragment II-go aktu kapitalnej sceny zaręczyn z pp. Lenkiem, Janowskim, Mrozińskim, Fabisiakiem, Łabędzkim, Lubińską i Krzywicką.